



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Henryka Pawłowska vel. Jaroszyńska

## Serce Warszawy

Urodziłam się 29 marca 1928 roku w Warszawie, w patriotycznej, katolickiej rodzinie. Wychowywałam się w dzielnicy żydowskiej, bo mieszkaliśmy przy ul. Smoczej. Później przeprowadziliśmy się na ul. Kazimierzowską (naukę w szkole podstawowej rozpoczęłam przy ul. Narbutta), a na krótko przed II wojną światową – na ul. Okopową 29 a.

W chwili wybuchu wojny miałam 11 lat i należałam już do harcerstwa. W naszym mieszkaniu gotowano zupy – przeważnie ryżowe, które w dużych kotłach wynosiliśmy na ulicę i rozdawaliśmy naszym żołnierzom prowadzonym przez Niemców do niewoli. Biegałam wśród nich i podawałam napełnione menażki.

W czasie okupacji było nam bardzo ciężko, bo Niemcy zwolnili mojego ojca z pracy. Nie mieliśmy prawie co jeść. Ojciec wkrótce zaangażował w pracę konspiracyjną, a ja też stale przenosiłam jakieś papiery. Gdy zamykano Żydów w getcie, podawałam im chleb i jarzyny. Na początku zawoziłam żywność tramwajem numer 8 lub 10. Przystanek był przed bramą. Stawałam na tylny pomost i wyskakiwała przy Gęsiówce, gdzie motorniczy trochę zwalniał. Tam czekano na mnie i obierano wszystko co miałam. Jeżeli nie mogłam przejechać tramwajem, to podchodziłam pod druty i rzucałam bochenki chleba, albo marchew, cebulę, czosnek.

Tak bardzo kochałam Warszawę, że nie wyobrażałam sobie życia poza nią. Do dziś pamiętam głos spikera radiowego ogłaszającego alarm dla miasta i te dywanowe naloty. W szkole uczono nas tylko z płomyczką, który nazywał się „Ster”, więc rozpoczęłam naukę na tajnych kompletach. W ten sposób praktycznie byłam już w konspiracji. Później rozprowadzałam „Biuletyn Informacyjny”. Ojciec zrobił mi małą skrzyneczkę z podwójnym dnem i paskiem na szyję. Chowałam do niej bibułę, a na wierzchu dawałam kilka paczek papierosów („Klub”, „Ergo”, „Ekstra” lub „Płaskie”), zapalki i tak wyposażona biegałam po ulicach. Patrząc kupującemu prosto w oczy dawałam mu prasę.

Przeżyłam wszystkie łapanki. Ojciec mój z kolegami w murze do getta przy ul. Wolności zrobił dziurę, ale tak mądrze, że wyjmowało się cegły. Zrobiono też podkop i tam przekazywało się zboże. Ja pilnowałam, czy gdzieś się nie pojawił Niemiec.

Okres całej okupacji – podobnie jak dla wielu innych warszawiaków – był dla naszej rodziny okrutny i bardzo niebezpieczny. Tym bardziej, że brałam udział w przeróżnych akcjach, do których zobowiązana byłam przysięgą harcerską. Krótko przed Powstaniem Warszawskim jechałam na tajne komplety mając przy sobie kilka biuletynów. W Śródmieściu Niemcy zrobili kocioł – łapankę i wszystkich zgarnęli. Zabrali nas na Pawiak. Bardzo się bałam, że w czasie rewizji znajdą u mnie biuletyny i wtedy będę spalona. Wcisnęto nas do piwnicy (prawie 100 osób). Ludzie mdleli. Niemcy co chwilę kogoś wywoływali i ślad po

nim ginął. Przeżyłam około dwóch godzin w takiej męczarni. Nie wiem w jaki sposób zrobili to nasi chłopcy, dość że przez opłacanego Niemca wydostali mnie z Pawiaka. Zaraz na drugi dzień koledzy z konspiracji załatwili mi pracę w fabryce „Philips”, w oddziale zestawów radio – lamp. Wchodziłam do zakładu od ul. Karolkowej lub od strony Przyokopowej, bo zawsze miałam przy sobie bibułę. Jedną wносиłam, a inną wyносиłam.

Podobnie jak cała młodzież warszawska z niecierpliwością czekałam na godzinę „W”. Wiedziałam już gdzie będę walczyła. Każdy z konspiracji miał swój przydział. 1 sierpnia 1944 roku por. Wyrwa włączył mnie w szeregi Armii Krajowej. Znalazłam się w kwaterze 4 kompanii im. Czarnieckiego przy ul. Świętojańskiej 31 na Starym Mieście. 2 sierpnia rano kpt. „Ognisty” wysłał mnie z meldunkiem do mjr. „Sosny”, który z chłopcami brał udział w zdobywaniu Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych od strony Zakroczymskiej. W bardzo nierównej walce zdobyli ten budynek. Później bardzo często biegałam z meldunkami od „Gozdawy” lub kpt. „Ognistego”. Nieraz wpadałam w strefę ostrzeliwania granatnikami lub ogniem maszynowym. Wiedziałam jednak, że od szybkości dostarczenia meldunku może zależeć powodzenie w walce, utrzymanie barykady lub uniknięcie zaskoczenia nieprzyjacielskiego.

Mocno w pamięci utkwił mi wybuch „Goliata”. W pierwszej połowie sierpnia w godzinach popołudniowych na ul. Podwale przy Kilińskiego wjechał czołg. Wszyscy w pobliżu zaczęli biec w jego stronę krzycząc, że zdobyli go nasi chłopcy. W tym momencie rozegrała się scena mrożąca krew w żyłach. Nastąpił wybuch „Goliata”, który pozostawił po sobie okropne zniszczenia i okrutną śmierć młodych ludzi. Na własne oczy widziałam poparzonych chłopców, zupełnie bez skóry. Widziałam podrywane ręce i nogi wiszące na oknach do wysokości drugiego piętra, mnóstwo zabitych dzieci. Ciała poległych zostały po prostu rozszarpane na drobne kawałki i rozrzucone wokół. Widok był tak przerażający, że do dziś go pamiętam i nieraz śni mi się po nocach. Zaraz po tym wydarzeniu kpt. „Ognisty” skierował mnie do szpitala, do pomocy przy rannych. Służyłam im dzień i noc. Spałam stojąc – tak bardzo byłam zmęczona.

Pamiętam też jak pośpiesznie przygotowywaliśmy pole do rzutów alianckich na placu Krasińskich. Około godz. 22-23 usłyszeliśmy warkot samolotów. Serce ścisnęło się ze szczęścia – może się uda. Niestety, po chwili odezwała się artyleria niemiecka. Płonący samolot spadł na Miodową, zapalając jeden z domów. Chłopcy rzucili się do zniszczonej maszyny chcąc ratować bohaterskich pilotów, ale niestety, żaden z nich już nie żył. Wydobywali jedynie ich ciała, częściowo zwęglone. Na tej samej barykadzie zginęło wielu powstańców. Działo się to nocą z 14 na 15 sierpnia 1944 roku. Zmęczona, ledwo trzymającą się na nogach, stawiałam się do kpt. „Gozdawy”. Dał mi korespondencję, którą miałam natychmiast dostarczyć do dowódcy grupy „Radosław”, mjr. „Bolka”. Rozkaz wykonałam. Wróciłam kanałami. Ledwo żywa dotarłam do katedry, a tu mówią mi, że dowództwo przeniosło się do nowej kwatery na Daniłowiczowską. Było tam okropne więzienie. Pod silnym ostrzałem ledwo się tam dostałam. Napiałam się czarnej kawy i chciałam trochę odpocząć. A tymczasem wzywa mnie kpt. „Ognisty” wręcza meldunek, który natychmiast trzeba zanieść do dr. Piotra.

Wyjście z kwatery-więzienia przy Daniłowiczowskiej okazało się bardzo trudne. Hitlerowcy wciąż je ostrzeliwali. Dla zmylenia przeciwnika chłopcy wystawiali hełmy na kijach, co chwilę z innej strony i w ten sposób ściągali ostrzał na siebie. Dzięki Bogu bez szwanku wydostałam się z kwatery. Zaczęłam biec do szpitala na ul. Długą 15, by odszukać dr. Piotra i przekazać mu meldunek. Akurat wpadłam na korytarz szpitalny, gdy zaczęły ryczeć „krowy”. W pośpiechu zamiast w lewo, pobiegłam w prawo. Zaczęło się jednocześnie – wycie „krow” i wybuchy pocisków. Zrobiło się strasznie ciemno. Pył dusił w gardle. Krzyk był taki, że nie mogę tego zapomnieć. Wszystko się waliło, paliło. Z przerażenia krzyczałam, płakałam, ale – nie wiem w jaki sposób – jednak przeżyłam. Chłopcy chcieli natychmiast odgrzebywać rannych, ale nie mogli, bo Niemcy tak nisko pikowali, że karabiny maszynowe były w pełnym ruchu. Dopiero nocą zaczęli nas odsypywać. Ja znalazłam się pod schodami na jakiejś desce. Ten głos rannych, okropnej rozpacz i lamentu, prześladuje mnie do dnia dzisiejszego.

Kiedy mnie odgrzebano dostałam silnego szoku. Położono mnie gdzieś na ul. Długiej w szpitalu. Dostałam morfinę i zasnęłam. Nie wiem jak długo spałam. Dowiedziałam się później, że razem ze mną przeżyły tam cztery osoby, a wszyscy ranni wraz z dr. Piotrem zginęli.

Nowy szpital batalionowy zorganizowany został przez dr. Romana przy ul. Kapucyńskiej 3. Do dyspozycji dr. Romana przydzielono podchorążego Bogusława, siostrę Jolę, Irkę i mnie – czyli tych, którzy ocalili ze zbombardowanego szpitala na ul. Długiej 15. Ja jednak, bojąc się już zamkniętej przestrzeni, zaangażowałam się ponownie w pracę kurierską. Biegałam po całej Starówce na różne barykady, nosiłam meldunki w trudnych warunkach. Ci, którzy byli wtedy na Starym Mieście dobrze wiedzą, jaka to była gehenna pod koniec sierpnia 1944 roku.

Wczesnym rankiem (było jeszcze szaro) staliśmy pod zwaloną katedrą. Kapitan „Ognisty” wysłał mnie z ważnym meldunkiem na ul. Freta. Nie pamiętam ile przebiegłam – może pół ulicy, gdy w jednym z okien pokazał się Niemiec i rzucił granatem we mnie. Zostałam ciężko ranna w biodro. Chłopcy ściągnęli mnie i zanieśli do szpitala na Długą 7. Było to 2 września 1944 roku. Nie zrobiono mi nawet opatrunku, bo nie było z czego. Zdjęto ze mnie podarty mundurek i obandażowano papierowym

bandażem. Potem położono mnie na noszach, bo nalot był co 15 minut. O świcie dostaliśmy wiadomość, że naszego wojska już nie ma i Niemcy przeszli barykady.

Dnia poprzedniego ogłaszali przez megafony, że cała ludność cywilna naszej dzielnicy ma pod groźbą utraty życia wyjść o godz. 6 rano z białymi chustkami. Personel szpitala postanowił nie ruszać się, bo technicznie byłoby to nie do wykonania. Wiadomość o poddaniu się dzielnicy (nie wojska) była dla nas okropna. O godz. 6.30 nadleciały znów sztukasy. Bombardowanie powtórzyło się. Około godz. 7.30 zjawili się pierwsi esesmani i wermachtowcy z psami. Działy się tam sceny dantejskie. Psy rozszarpały, a esesmani dobijali rannych na łóżkach. Otuchy dodawał nam ojciec Tomasz. Starał się nas wszystkich pojednać z Bogiem i udzielił każdemu, kto tego zapragnął Komunii Świętej.

Około południa zwołano cały personel z sal opatrunkowych. Po długim, denerwującym oczekiwaniu, wyprowadzono wszystkich mężczyzn do bramy i na podwórze. Co z nimi zrobiono nie wiem, mogę się tylko domyślać. Bóg miał mnie w swojej opatrności, bo Niemiec po trupach wyniósł mnie na ulicę. Byłam tym wszystkim tak wystraszona, że prosiłam go, by mnie zabił. Nie zrobił tego – rzucił z całych sił przed budynek. Widziałam tylko masę trupów, po których szli Ukraińcy i własowcy. Nosili oni papiery pod budynek, podlewali benzyną i podpalali miotaczami ognia. Wszystko się paliło. Widziałam wiszące i płonące belki, które lada chwila mogły spaść na mnie. Na szczęście grupka ludności cywilnej wzięła mnie w szary koc i tak przez całą spaloną Warszawę zaniósła aż do Dworca Zachodniego, skąd pociągi zawoziły do obozu w Pruszkowie.

Włos jeszcze dziś jeży mi się na głowie na wspomnienie okrucieństwa hitlerowców. Jako szesnastoletnia harcerka widziałam na własne oczy tych pijanych żołdaków, którzy zabijali rannych, gwałcili i rabowali pielęgniarki. W obozie przejściowym w Pruszkowie na hali, gdzie nas wpędzono, było bardzo tłoczno. Ludzie leżeli pokotem dosłownie na klepsku (widok przerażający). Niemcy sortowali nas jak rzeczy – zdrowych wywozili na roboty do Rzeszy, a chorych po różnych szpitalach. Ja zostałam potajemnie wyniesiona na noszach do jakiegoś domu blisko kolejki EKD. Umieszczono mnie na strychu, bo ludzie bali się przetrzymywania w mieszkaniu „bandytów” z Warszawy (groziło to śmiercią). Trochę mnie umyło i podano herbatę, po czym straciłam przytomność. Dowiedziałam się później, że był ksiądz, nałożył oleje święcone i nocą samochodem ciężarowym zawieziono mnie do szpitala RGO w Komorowie. Tam zajął się mną dr May. W końcu stycznia 1945 roku musiał on opuścić szpital, bo weszli Rosjanie. Zaczęła się ponowna gehenna. Co noc nawiedzali nas Ukraińcy i Rosjanie. Za każdym razem pielęgniarki barykadowały wszystkie wejścia, w obawie przed gwałtami.

W styczniu 1945 roku musiałam opuścić szpital. Zatrzymałam się u obcych ludzi w Pruszkowie. Chodziłam co dzień na opatrunki do miejscowego szpitala. Nie przyznawałam się, że jestem z Warszawy i brałam udział w Powstaniu, bo ludzie ci bardzo się bali. O rodzicach, siostrze i rodzinie nic nie wiedziałam, bo wywieziono ich z Woli na roboty do Niemiec. Zostałam sama jak palec. Warszawa spalona, a ja nie mam co jeść, w co się ubrać i gdzie mieszkać...

Zaczęłam poszukiwać matki, ojca i siostry przez Czerwony Krzyż. Jeździłam na gruzy stolicy i naklejałam kartki, że bardzo proszę o wiadomość od nich. Siostra z mamą też mnie poszukiwały. W styczniu czy w lutym 1945 roku do mojej kartki doklejono list z PCK, z którego dowiedziałam się, że matka z siostrą i siostrzenicą wracają z Niemiec. Zatrzymały się w Dębnie koło Szczecina. Była to dla mnie wielka radość. W spalonej i zniszczonej Warszawie sama nie dałabym sobie rady. Byłam powstańcem i nie chciałam tej rodziny z Pruszkowa narażać na nieprzyjemności. Musiałam iść na Komendę Milicji, by dostać bezpłatny bilet do Dębna. Jechałam tam z jakimś obcym mi zupełnie małżeństwem, udającym się do Szczecina. Podróż trwała prawie tydzień i była okropna. Po wielkich trudach dotarłam wreszcie na miejsce.

W Dębnie zrobiłam małą maturę i rozpoczęłam pracę w banku. Sielanka jednak trwała krótko, bo zaczęło się mną interesować UB. Wielokrotnie zabierano mnie nocą pod eskortą na przesłuchania. Napisałam tam setki swoich życiorysów, ale nie ze mnie wydobyć nie mogli – i nie chciałam podpisać. Byłam bardzo krnąbrna, toteż przetrzymywano mnie nieraz w okropnych warunkach po 24 godziny. Byłam tym wyczerpana fizycznie i psychicznie.

W kwietniu 1949 roku wysłałam za mąż za człowieka pochodzącego z Wołynia, którego cała rodzina została zesłana do Kazachstanu. Miałam piękny ślub kościelny. Na drugi dzień zabierając matkę wyjechaliśmy do Białogardu. Ale UB nie dawało mi spokoju. Byłam akurat w ciąży, gdy zabrano mi męża do Warszawy, skąd miał ponownie jechać na Sybir. Nie wiedziałam gdzie jest, nie miałam od niego żadnej wiadomości. Z tej zgrzyoty przedwcześnie urodziłam syna, który zmarł. Poród miałam bardzo ciężki i okropnie samotny. Mój zesłaniec wy dostał się z Warszawy, bo zachorował na gruźlicę. Następnego dnia wyjechaliśmy do Wrocławia. W ogóle nie przyznawałam się do tego, skąd pochodzę. Długo nic nie wiedziałam o losie mojego ojca. Dopiero po latach spotkałam we Wrocławiu kolegę i dopiero on mi powiedział, że ojciec zginął na żydowskim cmentarzu przy ul. Okopowej. Zabrałam jego prochy i skrycie pochowałam w rodzinnym grobie w Babicach. Urodziłam jeszcze dwóch synów, których wykształcałam i wychowałam na porządnym ludzi.

## Miasto rodzinne – Warszawa

Nie przeszłam jeszcze w życiu pół drogi, bo miałam dopiero szesnaście lat, a już zewsząd czaiła się okropna rozpacz... okupacja. Myślami wracam do minionych, bolesnych, a jednak drogich mi czasów. Kiedy na świat patrzyłam dzieckiem, stał nad Wisłą stary dom z ogrodem.

Gdy pewnego dnia zaświeciło jasno słońce, poszłam opalać się na nadwiślańskim piasku i pływać kajakiem po falach Wisły. Później ciemnym brzegiem, po równinie, uciekałam przed godziną policyjną. Myślałam ze złością młodej dziewczyny, że nadejdzie dzień, kiedy będę walczyła z barbarzyńskim najeźdźcą. Wreszcie wybiła godzina zemsty za zbrodnię, mękę i krew. Poszłam wtedy z wiarą do Powstania, bronić Ojczyzny. Do broni! Żołnierski woła nas zew. Idąc przez ciężkie życie myślę czasem o mojej warszawskiej ziemi, wspominam tajne komplety, na których nauczyłam się mimo cierpień kochać i bić się za Ojczyznę.

Za naszą wolność i przelaną krew.  
Bracia chwytamy za broń. Godzina „W” wybiła.  
Śmierć ani trud nas nie straszą.  
Zwycięski orle nasz leć.  
Dzięki, dzięki za każde miłe słowo.  
Dobrzy ludzie młodzieńczych wspomnień.  
Niech Wam szumi Wiślanie, sosnowo  
Wiatr co ślady tam zmiótł po mnie.  
Nie głaskało mnie życie po głowie,  
Nie pijałam ptasiego mleka –  
No i dobrze, no i na zdrowie.  
Tak wyrasta się na porządnego człowieka.  
Choć lat szesnaście miałam,  
Nie czas mi było na zabawę.  
W szeregu trzeba mi było stanąć.  
Do boju iść za sprawą,  
Za Polskę i Warszawę.

Młodość minęła, skrócona przez okrutne doświadczenie wojny. Czas płynie bezlitośnie, szron przyprószył skronie. Choć skończyłam już siedemdziesiąt lat i jestem bardzo schorowaną kobietą dziękuję Panu Bogu za to, że pomimo gehenny losu pozwolił mi przeżyć. Przyszła jesień życia, trzeba więc pogodzić się ze strzykaniem kości. Kiedy mnie jednak teraz ktoś zapyta, jak ja się dziś czuję, odpowiem grzecznie „dobrze, dziękuję”.

Spotykamy się co roku 1 sierpnia na Powązkach w przyjacielskim gronie, bo łączą nas przeżycia okupacyjne i powstańcze. Te refleksje płynące z głębi serca utrwaliłam ku wspólnej pamięci.

Któż nam wyśpiewa pieśń, kiedy pierś ściśnięta?  
Któż nam wystawi pomników monument?  
Ziemia czarna została, ziemia młodą krwią święta,  
I historii okrutnej strzępiasty dokument.  
Czasem pamięć zarośnie, boleść w śmiech się zmieni.  
Piorun ciemność rozświetli, obraz blady pokaże.  
Krew się już nie zaczerwieni, popiół zmiotą grabarze.  
Nie zęgały nas werble, nie biły nam dzwony.  
Kiedy w otchłań rzucały czarne śmierci ramiona,  
Nocą płomień nam świecił, pożerając miliony...  
Warszawskich Powstańców  
historia skończona.

## Sierpień 1998 rok

Przed akcją byłam skromną panną.  
Mieszkałam w małym, ładnym mieszkanku.  
Miałam pokój z białą wanną,  
Pieska, kotka, no i już.  
I pantofelki na koturnach i to i owo, względnie lub.  
Trochę byłam przekorna i czupurna,  
A myślami byłam byle już.  
I gdy los nas wysłał, by iść wytrwale,  
Więc naprzód niech broń rozdziera,  
Niech kulą szyje jak nić.  
Trzeba nam było umierać,

By Polska mogła znów żyć.  
 A nasza kochana Polska na razie nie umie żyć,  
 Wszyscy przelaną naszą krew chcą zatrzeć  
 I wymazać z pamięci jak balast.  
 A ja chcę zostawić po sobie ślad.  
 Bo w myślach las nam huczał jak morze,  
 Czy w bruk zburzonego miasta uderza nasz krok,  
 W naszych sercach trzepotał się wolny orzeł.  
 Byłam młoda, promienny uśmiech nosiłam na twarzy.  
 Wiedziałam, gdy rozkaz – to trzeba,  
 Choć serce skowyczy.  
 W rozkazie się serce żołnierza nie liczy  
 Nasze serca to były serca Warszawy.  
 Mówiliśmy głośno, że nam ducha starczy,  
 Oklasków też nie trzeba: nam trzeba amunicji  
 I wsparcia. I teraz też tego wsparcia nam trzeba,  
 A jego na starość brak.

### Moja Warszawo

W trzech tych zgłoskach żywe serce bije,  
 I tętni krew gorąca Polaków miliona -  
 Nie, nie poszła na marne,  
 Nasza młoda, krew szaleńcza obronna.  
 Warszawo! Wróg Cię gnębił,  
 Lecz twa sława żyje!  
 Na ranach zgliszcz, bliznach ruin  
 I dymie pożarów.  
 Broniłaś się wspinała, twarda i niezłomna,  
 Choć cię przemoc wroga dławiła ogromna.  
 Nie opuszczałaś dumnie bronionych sztandarów.  
 Walczył w Twojej obronie kwiat polskiej młodzieży,  
 Płomień męstwa w ich sercach jak burza się szerzył,  
 kiedy rozległ się okrzyk:  
 Godzina „W” wybiła  
 Warszawo do broni!

### Warszawo moja święta

Warszawo moja święta, czarna męczennico,  
 Pełna ran od granatów i grobów na skwerach,  
 Zryta barykadami na każdej ulicy,  
 Na których Powstaniec polski co nocy umierał.  
 Na rogu Wspólnej barykada się podnosi ponura,  
 Ziemia, piece, wanny, żelastwa ze składów,  
 Wielki autobus kołami do góry –  
 Ta barykada dziwnie podobna do owadu.  
 Ostrzeliwana Wola, żalony Mokotów,  
 Ruiny Świętokrzyskiej, Trębacka i Złota,  
 Wierzbowa rozwalona bombą z samolotu  
 I bohaterstwem kobiet wslawiona Ochota.  
 W Straszliwie ciemne noce płonęły ulice,  
 Gdy Twoje dzieci chore głód okrutny budził,  
 Widać było, jak w ognia błyskawicy  
 Padały trupy domów, grzebiąc trupy ludzi.  
 O miasto umęczone! Na zawsze spamiętasz  
 Roje zerwanych drutów, którymi wiatr chwieje  
 I Łazienki zmienione w siostr i braci cmentarz.  
 Przyjdzie dzień, gdy samolot nad Tobą zawarczy  
 I zmartwychwstaniesz depcząc nieprzyjaciela,  
 Virtuti Militari będziesz miała w tarczy,  
 Krzykniesz piersią przebitą  
 Jeszcze Polska nie zginęła!